

W KULUARACH BIZNESU

Ekologiczne paradoksy



MEC. ROBERT NOGACKI

Właściciel Kancelarii Prawnej Skarbiec

● **W miarę jak ekologia stała się modna, biznes zasymilował jej hasła i włączył je do swoich strategii marketingowych. Troska o środowisko naturalne stała się lukratywnym przedsięwzięciem, które pozwala wycisnąć z konsumentów dodatkowe kilka groszy na droższe, „ekologiczne” rozwiązania, które kiedyś mają się zwrócić, choć dziś jedyny pewny zarobek osiągają na nich producenci i banki udzielające kredytów na „zielone” rozwiązania. Prawidłowość ta dotyczy również przepisów prawa mających na celu gwarancję, że ekologiczne rozwiązania będą wdrażane w przemyśle i w handlu.**

Ta gałąź prawa, tzw. prawo ochrony środowiska, to stosunkowo młode zjawisko. W Stanach Zjednoczonych pierwsze federalne akty prawne, odnoszące się do czystości wody, pojawiły się w 1948 r., a traktujące o czystości powietrza w 1955 r. U podstaw tego rodzaju rozbudowanych regulacji prawnych, mających na celu ochronę środowiska leży przekonanie, że rynek sam z siebie nie jest w stanie szanować natury i jeśli nie postawić mu tamy, to przyczyni się do zniszczenia środowiska.

Tak naprawdę istota problemu wydaje się tkwić zupełnie gdzie indziej. Degradacja środowiska naturalnego nie wynika z błędów wolnego rynku, ale z faktu, że prawa jednostek nie są w należyty sposób respektowane i chronione przez rządy. Jeśli kopalnia srebra uwalnia do rzeki metale ciężkie i cyjanki, to na gruncie tzw. prawa ochrony środowiska robi się z tego problem abstrakcyjnej regulacji prawnej, która zakazuje uwalniania zanieczyszczeń. Tymczasem jest to przede wszystkim sprawa naruszenia indywidualnych praw jednostek, któ-

re muszą z takiej wody korzystać. Każda z tych osób byłaby w stanie dużo lepiej pilnować swoich interesów w tym zakresie, niż jest to w stanie zrobić za nią urzędnik. Pomimo tego, prawo nie pozwala na skonstruowanie wiarygodnych roszczeń odszkodowawczych ze strony osób, których prywatne interesy zostały naruszone np. zanieczyszczoną wodą lub powietrzem. Dlatego problem trafia do abstrakcyjnej agencji rządowej, która weryfikuje czystość wód powierzchniowych i wymierza przedsiębiorcom kary.

Tymczasem, tego rodzaju roszczenia odszkodowawcze posiadałyby bardzo silny efekt odstrasżający. Nie jest przypadkiem, że najpiękniejsze ostoje leśne w Europie stanowią dawne lasy królewskie. W Ameryce wytrzebiono „niczyże” bizona, a nie prywatne krowy, podobnie jak w Europie – wyginęły majestatyczne tury, które zresztą znalazły ostatnią ostoję w Puszczy Jaktorowskiej, a więc w prywatnym lesie książąt mazowieckich, przyszłych królów Polski. To normalne – zasobom naturalnym, które nie mają jasno określonego właściciela, brakuje też obrońcy przed drapieżnymi zachowaniami innych ludzi. Dlatego własność „społeczna” nie sprawdza się jako metoda ochrony zasobów naturalnych. Nie przypadkiem więc środowisko naturalne ma się podobno najlepiej w jednym miejscu na Ziemi, gdzie nie sięga żadna władza państwowa, a więc w strefie zdemilitaryzowanej między Koreą Północną i Koreą Południową. Na tej najlepiej pilnowanej na świecie linii demarkacyjnej nie istnieją przepisy odnoszące się do ochrony środowiska, ale jedynie dwie grupy ludzi, które wzajemnie się pilnują przed naruszeniem swoich uprawnień.

Cała sprzeczność między interesami wielkich koncernów a ochroną środowiska jest pozorna i wynika wyłącznie z faktu, że jednostkom nie dostarcza się odpowiednich instrumentów prawnych do tego, aby same broniły się przed działaniami „trucicieli”. Nie jest przypadkiem, że środowisko naturalne jest chronione lepiej w krajach szanujących wolności obywatelskie, a poziom świadomości ekologicznej jest najwyższy tam, gdzie ludzie są najbardziej zamożni – troska o środowisko naturalne rośnie liniowo z zamożnością społeczeństwa. Istota problemu leży bowiem nie w przepisach prawa, ale dojrzałości obywateli i ich prawie do egzekwowania swoich wolności na drodze sądowej.

Istnieje zapewne również wiele tak długofalowych i skomplikowanych wypadków oddziaływania na środowisko, iż nie nadają się one do konstruowania już dziś roszczeń prawnych ze strony jednostek. Problem polega jednak na tym, że jeśli są to skutki tak subtelne, że nie nadają się do wyrażenia w toku procesu sądowego, to najczęściej stoją za nimi tylko luźne spekulacje intelektualne, które nie nadają się do dochodzenia przed sądem. Dzieje się tak, ponieważ brakuje dowodów i możliwości uchwycenia związku przyczynowo-skutkowego. Historia ekologii jest pełna takich spekulacji i chyba nie warto angażować prokuratury do ich ochrony. Wystarczy przypomnieć, że w 1970 r. prof. Paul R. Ehrlich z Stanford University, na poważnie dowodził, że w latach 1980-89 umrą z głodu 4 miliardy ludzi (z czego 65 mln w Stanach Zjednoczonych). Jego bardzo sugestywna książka sprzedana w milionach egzemplarzy – „The Population Bomb”, stała się akceleratorem różnych proekologicznych zmian prawnych, ale z perspektywy pół wieku wydaje się całkowicie nietrafiona.

Środowisko mogą chronić tylko ludzie. Nie nadaje się do tego polityka, która jest po prostu nauką o tym, jak zdobyć i utrzymać władzę. Ekologia wrzucona w wir polityki będzie po prostu takim samym narzędziem walki politycznej jak każda inna ideologia, która jest używana przez polityków do walki o władzę.

Z tych samych przyczyn prawo nie powinno być jednak proekologiczne, ale po prostu sprawiedliwe i zapewniać na tyle kompleksową ochronę praw jednostki, aby ta jednostka mogła się upomnieć również o środowisko, w którym żyje. Troska o środowisko naturalne jest i powinna pozostać zagadnieniem z zakresu etyki jednostki, a nie porządku prawnego społeczeństwa. Dlatego wymaga przede wszystkim edukacji, a nie regulacji prawnych. Jak mówi stare chińskie przysłowie: Jeśli myślisz rok naprzód, sadź ryż. Jeśli myślisz 10 lat naprzód, sadź drzewo. Lecz jeśli myślisz 100 lat naprzód, ucz ludzi.